

Solidarność – mit czy fundament polityczności?

Solidarność była wielką demokratyczną rewolucją, dorównującą skalą i patosem zarówno amerykańskiej jak i francuskiej. Mało kiedy w swych dziejach Polacy sięgnęli poziomu uniwersalnej historii w tak oczywisty sposób. W dzisiejszej pamięci o tamtym czasie dominuje jednak obok dumy również gorycz. Określenie „utracony skarb” dobrze oddaje tę ambiwalencję - przeczytaj tekst Dariusza Gawina o fenomenie „Solidarności”



Solidarność była wielką demokratyczną rewolucją, dorównującą skalą i patosem zarówno amerykańskiej jak i francuskiej. Mało kiedy w swych dziejach Polacy sięgnęli poziomu uniwersalnej historii w tak oczywisty sposób. W dzisiejszej pamięci o tamtym czasie dominuje jednak obok

dumy również gorycz. Określenie „utracony skarb” dobrze oddaje tę ambiwalencję - przeczytaj tekst Dariusza Gawina o fenomenie „Solidarności”

Hannah Arendt we wstępie to tomu esejów *Między czasem minionym a przyszłym* pisała: „Historię rewolucji, od lata 1776 w Filadelfii i lata 1789 w Paryżu do jesieni 1956 w Budapeszcie, można by opowiedzieć w formie paraboli jako bajkę o odwiecznym skarbie, który w najprzeróżniejszych warunkach pojawia się nagle i niespodziewanie, i znowu znika, za każdym razem w innych, tajemniczych okolicznościach”.[1] Niemiecka myślicielka zmarła na pięć lat przed Sierpniem 80 roku, nie mogła więc komentować fenomenu solidarnościowej rewolucji. Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że jej sposób rozumienia polityczności doskonale pasuje do polskich doświadczeń z tego okresu. Solidarność była wielką demokratyczną rewolucją, dorównującą swoją skalą i patosem zarówno tej amerykańskiej jak i francuskiej.[2] Mało kiedy w swych dziejach Polacy sięgnęli poziomu uniwersalnej historii w tak oczywisty sposób. W dzisiejszej pamięci o tamtym czasie dominuje jednak obok dumy również gorycz. Określenie „utracony skarb” dobrze oddaje tę ambiwalencję. Dlaczego tak się stało?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy zastanowić się co stanowi istotę dziedzictwa Solidarności. Jakie wartości tworzą rdzeń jej etosu? Należy naturalnie pamiętać o całym skomplikowaniu ruchu Solidarności, który mieni się z perspektywy trzydziestolecia wszelkimi ideowymi barwami. Był on bowiem i lewicowy i narodowy, konserwatywny i liberalny, antykomunistyczny i chrześcijański. Każda z tych tradycji może przedstawić swoje roszczenia do solidarnościowego dziedzictwa, i choć nie mają one dokładnie takich samych praw, to każde może zostać rzetelnie udokumentowane.

Oznacza to, iż dziedzictwo Solidarności sięga głębiej, poza poziom ideowych czy ideologicznych projektów nowoczesności; sięga bezpośrednio do źródeł zachodniej polityczności w takim sensie, w jakim czyniły inne wielkie demokratyczne rewolucje świata zachodniego. W dziedzictwie Solidarności można zatem wyodrębnić dwie podstawowe warstwy – odnoszącą się do sfery tego, co polityczne oraz do sfery tego, co społeczne. Pierwsza to wolność jednostki we wspólnocie obywatelskiej. Oba człony tego zdania są tutaj równie ważne. Należy ten związek podkreślić, ponieważ w nowoczesnej myśli politycznej przyzwyczajono się do przeciwstawiania jednostki wspólnocie. Ci, którzy kładą nacisk na prawa jednostki z nieufnością patrzą na prawa zbiorowości. Ten rodzaj napięcia łatwo można opisać poprzez antagonizm liberalizmu i konserwatyzmu czy liberalizmu i nacjonalizmu. Solidarność przekreślała tę dychotomię. Wolność i prawa jednostki nabierały mocy tylko w ramach wspólnoty politycznej. Tylko wtedy gdy wspólnota polityczna jest wolna i praworzędna, jednostka może cieszyć się własną wolnością i posiadać gwarancje własnych praw. Ale wymaga to z jej strony gotowości do ciągłego podtrzymywania tejże wspólnoty poprzez uczestnictwo w życiu publicznym, stałe natężenie uwagi na dobro wspólne, gotowość do debaty, sporu, poszukiwania zgody oraz do ponoszenia ryzyka związanego z obroną wspólnoty. Czas wielkiej Solidarności to moment odkrycia – i jest to wspomnienie w Polsce powszechne – prawdy, że godność jednostki zdobywa się wspólnie z innymi, którzy razem, poprzez wspólną walkę, wspólne obywatelskie życie odkrywają ją w sobie i we współobywatelach. To odkrycie stanowi moment fundujący wspólnotę polityczną w inny sposób niż konstrukcja umowy społecznej. Jego siła bierze się stąd, iż umowa musi być poprzedzona kalkulacją zysków i strat; więź spajająca autentyczną wspólnotę polityczną rodzi się z dojmującego poczucia braterstwa, jakie spaja ludzi, którzy podejmują zobowiązanie życia razem w obywatelskiej wspólnocie. Więzy owa jest pierwotna w stosunku do wszystkich ideologii czy instytucji, które

zrodziły się w nowoczesnej polityce. To na niej wznoszą się dopiero takie konstrukcje jak państwo, naród, socjalizm, patriotyzm itd. Bez niej zaś te konstrukcje nic nie znaczą. Arendt ma na temat tej warstwy politycznej wiele do powiedzenia, tak, jak inni przedstawiciele współczesnej tradycji republikańskiej. Tak rozumiana Solidarność była naszą polską, lokalną odmianą wielkiej zachodniej, a zarazem uniwersalnej tradycji republikańskiej polityczności.

W warstwie społecznej dziedzictwo Solidarności to równość i sprawiedliwość. Obywatele złączeni we wspólnotę obywatelską chcą, by pojęcie wolności zostało mocno zespolone z pojęciem godności. Pierwiastek tego, co polityczne splata się tutaj z pierwiastkiem tego, co społeczne – człowiek żyjący w wolności to człowiek prowadzący „godne życie”, ale zarazem polskie pojęcie godności wykracza poza wolność polityczną i obejmuje również dobrostan, „dobry byt” czyli warunki życia. Człowiek wolny nie może być niewolnikiem innego człowieka w sensie politycznym, ale też nie może być niewolnikiem konieczności życiowej. Bieda, niedostatek to nie tylko problem materialny, to także problem godności – ten, kto jest biedny czuje się upodlony, jego godność została podeptana ponieważ biednym okazuje się pogardę. Biedny czuje się zatem wykluczony poza granice obywatelskiej wspólnoty; nie jest współobywatelem, lecz kimś gorszym. Z rozpoznania tej sytuacji rodziło się w czasach pierwszej Solidarności przekonanie, że zapewnienie godnego życia wszystkim członkom wspólnoty musi być troską o charakterze politycznym. Godne życie jest warunkiem wolności; wolność gwarantuje godne życie. Obie te rzeczy nie ulegały w pierwszej Solidarności rozbiciu na liberalny indywidualizm łatwo wyradzający się w egoizm przeciwstawioną socjalistycznej, lewicowej opiekuńczości, na siłę niwelującej różnice za pomocą państwowej redystrybucji w imię hasła społecznej sprawiedliwości. Znów – tak jak w sferze politycznej Solidarność próbowała łączyć prawa jednostki i prawa wspólnoty, tak w sferze

społecznej Solidarność próbowała łączyć wolność i równość, wartości, które – co wiemy od czasów Tocqueville’a, pozostawać mają w warunkach nowoczesności w nieuchronnym konflikcie. W tym wypadku polskie doświadczenie wykracza poza tradycję republikańską, tak jak rozumiała ją Arendt, która zawsze podkreślała, iż sfera tego, co społeczne, sfera konieczności bytowych powinna być wyłączona z polityczności (tak, jak miało to miejsce u Greków). Owa druga warstwa solidarnościowego dziedzictwa posiada zatem inne korzenie niż klasyczne – korzenie chrześcijańskie. Tutaj naszym przewodnikiem byłby raczej Jan Paweł II i ksiądz Tischner, zwany kapelanem Solidarności, autor Etyki Solidarności.[3] Równość i sprawiedliwość jako fundament życia godnego w wolności to przetworzona tradycja chrześcijańskiego miłosierdzia połączonego z miłością bliźniego. Bo też solidarnościowy etos oznaczał rozpoznanie we współobywatelach bliźnich, a solidarność przez małe „s” znaczyło gotowość do wspólnego dźwigania ciężarów. To właśnie za sprawą chrześcijańskich korzeni społeczny wymiar polskiego doświadczenia, choć sprawiał wrażenie lewicowego, nie był socjalistyczny w tym względzie, w jakim socjalizm czyni hasło sprawiedliwości społecznej orężem w walce klasowej (Solidarność była ruchem „ludzi pracy”, jak to wówczas w Polsce mówiono, a nie rewoltą „klasy robotniczej”). Rewolucja Solidarność nie była zatem rewolucją socjalną w takim znaczeniu, w jakim była nią rewolucja bolszewicka; była to rewolucja polityczna, która jednak miała także na względzie sprawę równości rozumianej jako równość godnego życia. Wspólnota solidarnych obywateli łączyła się w trosce o dobro wspólne razem, uznawała w niej wspólne zobowiązanie spajające wszystkich.

Jeśli tak właśnie rozumieć dziedzictwo Solidarności w jej wymiarze politycznym i społecznym, to należy stwierdzić, iż dzisiaj jest ono pęknięte, rozbite i że obecne pokolenie utraciło je trwale. Nie znaczy to jednak, iż było ono mitem, który przegrał w starciu z twardą

rzeczywistością i przeminął. To dziedzictwo jest żywe, choć przede wszystkim jako pamięć. Z faktu, iż obecne pokolenie odrzuciło i utraciło – parafrazując słowa Arendt – skarb Solidarności/solidarności (bo utraciło zarówno tę pisaną wielką jak i małą literą), nie wynika, że tak samo postąpią wszystkie przyszłe pokolenia. Obecne pokolenie ma władzę tylko nad teraźniejszością, która jednak nie sięga w przyszłość. Dlaczego tak się stało, dlaczego obecne pokolenie utraciło to dziedzictwo, dlaczego może tylko przechować pamięć o nim, w którą tchnie ewentualnie życie ktoś żyjący po nim? Kluczem do odpowiedzi na to pytanie może być znów Arendt. Całe jej dzieło było wielkim wysiłkiem zrozumienia klasycznej tradycji działania politycznego i objaśnienia jego sensu współczesnym ludziom zachodu, którzy – jak sądziła – tracili na jej oczach zdolność do czerpania z tego źródła polityczności. Zarazem jednak bezwiednie wskazywała także – można się o tym przekonać na łamach takich jej prac jak O rewolucji czy Obietnica polityki, na pewien rodzaj nieusuwalnego potencjału utopii w republikańskiej tradycji. To dlatego pisała, iż ów skarb pojawiał się i znikał w zachodniej tradycji. Doświadczenia obywatelskiego, politycznego działania w ramach wspólnoty politycznej wydarza się w kulturze zachodu niejako poza racjonalnie konstruowanymi ciągami skutkowo-przyczynowymi. Może trwać krócej lub dłużej, lecz za każdym razem nie jest dane raz na zawsze, jego utrzymanie wymaga wysiłku i troski. Do końca jednak, do stanu doskonałości nigdy nie może zostać doprowadzone, bowiem nawet Ateńczycy, tak jak ich sportretowała Arendt w Kondycji ludzkiej, są raczej intelektualną konstrukcją, pewnym modelem, czy typem idealnym, od którego nawet odstawali w istocie rzeczywiści współobywatele Peryklesa (żeby się o tym przekonać, wystarczy poczytać te fragmenty Wojny peloponeskiej, które skrzętnie w swych pracach niemiecka filozof pomijała). Nie znaczy to jednak, że ten typ idealny należy uznać za fałsz, za utopię w takim znaczeniu, w jakim potocznie rozumie się utopię – czyli za projekt niemożliwy do realizacji. Polityczność Greków jest tutaj raczej

miarą, jaką przykłada się do każdorazowej współczesności usiłującej realizować projekt demokratycznej i republikańskiej zarazem wspólnoty politycznej, tak jak rozumiana jest ona w cywilizacji zwanej zachodnią

W tym sensie Solidarność uczestniczy w wielkiej tradycji zachodu, jest lokalną odmianą uniwersalnych i konstytutywnych dla tej tradycji wartości i jako taka dostarcza nam Polakom miary służącej do oceny każdorazowej polskiej próby realizacji w praktyce tego typu idealnego. Jest miarą, ponieważ ze wszystkich odmian wspólnoty politycznej, jaką w trakcie swoich dziejów stworzyli Polacy, właśnie ten projekt, ta polityczna rzeczywistość zbliżyła się być może najbardziej do uniwersalnego, zachodniego typu idealnego (piszę „być może”, ponieważ kilka równie wielkich momentów zdarzyło się jednak w naszej historii – za przykład można dać Rzeczpospolitą z czasów ruchu egzekucji praw w XVI wieku, dzieło Konstytucji 3 Maja czy początki II Rzeczpospolitej). Solidarność, ta pierwsza, wielka Solidarność – wielka w skali dosłownej, bo dziesięciomilionowa, i wielka duchowo – bo sięgająca najdalej w kierunku ideału obywatelskiego życia, przyświecającego od przeszło dwóch tysięcy lat ludziom Zachodu, może zatem zostać określona za Arystotelesem jako entelechia Polaków, jako najdoskonalszy rodzaj polskości rozumianej poprzez ideał obywatelskości. Najdoskonalszy, jaki są w stanie zbudować Polacy działający w realnej historii.

Kiedy tak rozumianą Solidarność przyłożymy jako miarę do współczesnej Polski, z całą bolesną wyrazistością rysują się nam jej wady. To prawda, po dwudziestu latach wolnej Polski cieszymy się wolnością jednostkową i zbiorową suwerennością, żyjemy w kraju, który jest bez porównania bardziej zamożny niż trzydzieści lat temu. A przecież wolność indywidualna nie jest dziś powiązana równie mocno jak wtedy z wolnością wspólnoty politycznej; wolność poróżniona jest

także z równością i sprawiedliwością, z ideą „godnego życia”, jako warunku wolności. Przejmująco dziś brzmią zdania ze wstępu Bohdana Cywińskiego do nowego wydania legendarnej książki Rodowody niepokornych, książki, książki na której wychowało się pokolenie Solidarności: „Zielone światło dla kapitalistycznej przedsiębiorczości jednych, obok wielu znakomitych skutków ogólnospołecznych, przyniosło nieuniknione upośledzenie dla drugich, powodując ich socjalną degradację. Wyzysk człowieka pracy przez człowieka interesu jest na nowo polskim problemem społecznym. Uzależniona od rynku – i przez to sprowadzona wyłącznie do wymiaru rozrywki – kultura nie znajduje w sobie dostatecznej energii, by pobudzić zbiorowe myślenie.”[4]

Efekty tego niestety widać na każdym kroku – państwo traktowane jest jako instrument do ochrony interesów rządzących. Powszechna publiczna apatia i obojętność wobec spraw publicznych współlistnieje z zacieklą wrogością zwalczających się radykalnych mniejszości i elit, które potrafią organizować wyniszczające kampanie politycznej mobilizacji, by za chwilę porzucić ich tematy i konsumować owoce władzy. Dobro wspólne rozpadło się w pełnej nienawiści i pogardy mentalnej wojnie domowej. Że odpowiedzialność za całość, za sprawy publiczne, za dobro wspólnoty politycznej powinna być sprawą powszechną, możemy przekonać się tylko w momentach dramatu. Wtedy spadają maski, stajemy nadzy wobec grozy i powagi rzeczywistości – tak jak to się stało po 10 kwietnia, gdy cały naród zamarł na wieść o tragicznej śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Te momenty trwają jednak krótko, bo zaraz wszyscy powracają do dobrze znanych ról, odgrywanych w dramacie bratobójczej wojny.

Zaciekłość tej wojny rodzi się także gdzieś w czasach wielkiej Solidarności. Jej przyczyny – choć niejasne dla nas, udręczonych tym

nieszczęściem zbiorowym, na które patrzymy od kilku lat, nikną gdzieś w tamtej przeszłości. Walczy przecież ze sobą pokolenie polityków, którzy właśnie wtedy pojawili się na publicznej scenie. Nie bądźmy zbyt surowi – przy wszystkich grzechach, które można im wytknąć, niosą oni na barkach także nie swoje winy. Mam na myśli stan wojenny, kilka lat brutalnej przemocy, terroru fizycznego i psychicznego, który okaleczył nasze pokolenie i zatrzał wolną Polskę. To był czas łamania charakterów, miażdżenia społecznej struktury, zrywania społecznej więzi. Solidarność jako ruch przetrwała ten czas, płacąc jednak ogromną cenę. Warto o tym czynniku pamiętać, zanim wszelkie nasze niepowodzenia zwali się na karb narodowego charakteru lub historycznej konieczności. Nie wiemy jak ten dzisiejszy, wewnętrzny konflikt się zakończy. Pewne jest jednak, iż dziedzictwo Solidarności rozumiane i pamiętane jako miara, jako probierz polskiej rzeczywistości przetrwa. Jej skarb – dziś utracony, staje się tym samym osnową polskiej tradycji, polskiego sposobu pamiętania o istocie polityczności; prawda – na co dzień może ona pogrążyć się w zniechęcającej polityce. Ale przecież nasze namiętności, nasz gniew, nasze zaangażowanie w nią czerpią swoją siłę właśnie z dojmującego poczucia rozziewu, jaki dzieli miarę od rzeczywistości. Przywołajmy znów Arendt: „Bez testamentu, (...) bez tradycji – która dokonuje wyboru i nazywa, która przekazuje i konserwuje, która wskazuje, gdzie leżą skarby i jaka jest ich wartość – ciągłość czasu nie istnieje, nie ma też – biorąc rzecz w ludzkim wymiarze – przeszłości ani przyszłości, tylko odwieczna przemiana świata i biologiczny cykl żyjących w nim istot.”[5] W stanie wojennym głoszono hasło: „Solidarność nie da się podzielić ani zniszczyć”. Wtedy była to prawda. Jednak ta realna solidarność (właśnie przez małe „s”) niestety nie do końca okazała się aż tak nieugięta i odporna na ciosy w warunkach wolności. Ale tradycji i pamięci o tamtym doświadczeniu rzeczywiście nie da się podzielić ani zniszczyć. W imię polskiej przyszłości.

Tekst stanowi fragment książki Ośrodka Myśli Politycznej poświęconej tradycji solidarnościowej „Polska Solidarności: kontrowersje, oblicza, interpretacje”

[1] H. Arendt. Między czasem minionym a przyszłym. Osiem ćwiczeń z myśli politycznej, przełożyli M. Godyń, W. Madej, wstęp P. Śpiewak, Warszawa 1994, s.16

[2] Osobną kwestią jest jej pełen pasji podziw dla powstania węgierskiego 1956, które zawsze konsekwentnie nazywała rewolucją. Swoją drogą, na tle jej zachwyty nad radami robotniczymi Budapesztu, intrygująco wygląda zupełny brak zainteresowania dla polskiego Października i polskich rad robotniczych, choćby tych z warszawskiego Żerania. Być może – to tylko hipoteza – źródłem tego desinteressment szukać należy w jej dzieciństwie i młodości spędzonej w Królewcu na początku XX wieku, które zaraziły ją – nazwijmy to tak – specyficznie pruską optyką postrzegania spraw polskich. Pewną poszlaką w tej mierze mogą być uwagi, jakie czyni o Polsce w Korzeniach totalitaryzmu, które są zawstydzającą mieszanką ignorancji i uprzedzenia.

[3] Por. interesującą pracę Zbigniewa Stawrowskiego łączącą obie te postacie w kontekście Solidarności: Solidarność znaczy więź. W kręgu myśli Józefa Tischnera i Jana Pawła II, Kraków 2010.

[4] B. Cywiński, Rodowody niepokornych, Warszawa 2010, s. 14.

[5] H. Arendt, Między czasem..., dzieło cyt., s. 17.